

Jeszcze się bawimy (II) — wykrot

Od autora: Bal się zaczyna. Menu - pasjonujące. Tomek, w towarzystwie żony, śledzą początkowe wydarzenia. Pojawia się też Dorota z mężem...

Chyba zbladłem, kiedy Marta mi to oznajmiła, miałem jednak nadzieję, że podekscytowanie przygotowaniami do wieczornego występu, stępiło jej wrażliwość na mój wygląd. Przecież i ja miałem prawo do emocjonalnego reagowania na wszelkie nowe bodźce. Moje zmieszanie można było tłumaczyć na przykład zdziwieniem. Ale długo jeszcze czułem jakąś dziwną słabość w nogach...

Wszystko dlatego, że zbyt późno dotarłem wczoraj do domu. Jeden samolot z Moskwy odwołano, bo miał jakąś usterkę, potem w kolejnym nie było miejsca i nie było wiadomo, czy w ogóle zdążę na czas. W końcu jakoś udało mi się pokonać przeszkody i wczoraj wieczorem byłem w domu. Tyle, że Marta nie do końca była do balu przygotowana. Tak przynajmniej sama uważała.

Cały scenariusz przygotowań uzgadniała z Joasią i wiedziała, tak samo jak ja, że mamy w hotelu zarezerwowany apartament, wraz z pełnym wachlarzem usług. Od manikiurzystki i fryzjera począwszy. Wszystko, co sobie tylko zażyczymy, w dodatku gratis, jako bonus przysługujący gościom apartamentów. Dlatego już wcześniej zdecydowała, że skorzysta z tych możliwości na miejscu. Jednak, gdy wczesnym rankiem wyjeżdżaliśmy z domu, trochę obawiała się niespodzianek i tak naprawdę, to jechaliśmy niemal na wariackich papierach.

Kiedy przed południem dotarliśmy do hotelu, Joasia czekała na nas w hallu.

- Dlaczego wy macie apartament, a mnie to przydzielili zwykły pokój? – od razu zgłosiła żartobliwe pretensje.

Na chwilę mnie zatkało. Cóż miałem jej odpowiedzieć? Że to prezent dla Marty od jej rywalki, żony szeffa? Nie, to nie byłoby dobre słowo. Dorota nie była Marty rywalką, nigdy nawet nie próbowała z nią walczyć. Sama tak uważała i cały czas podkreślała, że nigdy nie pozwoli ani sobie, ani mnie, na jej zlekceważenie. Uważała się za Marty dłużniczkę i demonstrowała to, chociażby finansowym zaangażowaniem w nasze życie. Sam nie wiedziałem jak to pojmować; czy bardziej jej zależało na mnie samym, czy bardziej na tym, żeby moje rodzinne życie układało się teraz bez większych przeszkód.

- Przecież ty tu rządzisz, więc po co pytasz? – odbiłem jej piłeczkę.

- Tak, akuratnie! Ja mam tu do powiedzenia tyle co nie!

- Ale masz swój pokój?

- Mam, jednak to nie to samo! Wszyscy goście mają zarezerwowane pokoje, ale apartamenty tylko nieliczni. Skąd wy macie takie znajomości?

- Bo my jesteśmy przedstawicielami zagranicznego banku, dlatego też mamy przywileje! – znalazłem żartobliwe wyjście z sytuacji.

Apartament był oczywiście pomysłem Doroty i za nic nie chciała od tego odstąpić, mimo że tłumaczyłem jej, iż to może dać niektórym osobom zbyt wiele do myślenia. Bo niby skąd właśnie nas ma spotykać takie wyróżnienie? Odpisywała mi, niezrażona, że Marcie to się od niej należy i nie dawała się przekonać, że w ten sposób prowokuje naszą dekonspirację. A jakby tego wszystkiego było mało, przed kilkoma dniami napisała mi, iż liczy na to, że powspominamy sobie na balu nasze dawne tańce, trenowane kiedyś w Pokrzywnie.

Gdybym nie wiedział, że zawsze twardo stąpa po ziemi, musiałbym się bać. Pomysły miała niesłychane. To wyglądało na chodzenie po linie nad przepaścią. Przecież nie znała Marty, więc jak mogła przewidywać jej reakcje? W dodatku była też i Joasia. Bystra obserwatorka, doskonale już orientująca się w

bankowych układach. Patrzyłem na te zapowiedzi sceptycznie, a mimo to Dorota bagatelizowała moje obiekcje. – Wszystko będzie dobrze! – spokojnie zapewniała jeszcze przedwczoraj, w ostatnim emailu, tuż przed swoim odlotem do Polski.

Dlatego też, jak powiedziała kiedyś Lidka, czułem dupą, że to spotkanie z Martą u fryzjera nie mogło być dziełem przypadku! Dorota zaplanowała je, rozgrywając sytuację niczym wytrawny szachista. Pewnie doszła do wniosku, że najlepszym wyjściem jest poznanie Marty beze mnie, w sytuacji neutralnej, a nie dopiero na balu. Chciała, żeby ich znajomość kojarzyła się mojej żonie raczej z Joasią i jej pracą, mnie pozostawiając trochę na uboczu.

A może chciała tylko Martę pooglądać? I znając już naocznie mój dawny wybór życiowej partnerki, wysnuwać z tego jakieś wnioski mnie dotyczące? Ale o jakie wnioski mogło teraz chodzić? Zresztą, takie myśli chyba obrażały jej intelekt. Gdyby tego nie chciała, nie odezwałaby się do Marty ani słowem. A przecież spędziły tam na rozmowie niemal trzy godziny! I to Dorota ciągnęła Martę za język, aby wyjawiała luźne opowieści ze swojego życia...

Zastanawiało mnie tylko jedno. Kto, jak i kiedy powiadomił ją, że Marta jest na miejscu? Czyżby i w tym hotelu personel spełniał każdy jej kaprys, każde życzenie?

Przez cały czas mojej pracy, najczęściej tylko pisywaliśmy do siebie, chociaż po świętach Dorota zadzwoniła do mnie dwa razy, pierwszy raz chcąc konkretnego potwierdzenia uczestnictwa w balu, a drugi raz – składając nam noworoczne życzenia.

Zastała nas z Martą na balu sylwestrowym i bardzo się cieszyła, że mam okazję przypomnieć sobie jak się tańczy. Nie wiedziałem wtedy czy żartuje, czy naprawdę Anka nie zdradziła jej naszych nauk. Że uczy mnie angielskiego, a w zamian ja uczę ją tańczyć. Wyglądało na to, iż jednak się nie przyznała, a nasze ciche porozumienie nadal pozostawało poufnym. Czyżby to był pierwszy wyłom w przekazywaniu przez Ankę informacji o mnie?

Marta nie zauważyła wtedy, że rozmawiałem z Dorotą. Piliśmy wówczas niemało, w dodatku noworoczny gwar i hałas, oraz mnóstwo krzyżujących się przy stole dzwonek telefonów, skutecznie pozwoliły mi ukryć tę rozmowę. Tak samo ja nie wiedziałem kto do niej dzwonił. O niektórych życzeniach mi mówiła, ale czy o wszystkich? Próby rozsypiania tego węzła nie miały żadnego sensu. Szkoda było na to czasu. Byłem zadowolony, iż w ogóle zgodziła się pójść ze mną na ten bal. I jeśli mam być szczery, bawiliśmy się tam całkiem nieźle. Niemal jak przed laty. A kiedy nad ranem wróciliśmy do domu... rozbierałem ją już w przedpokoju.

W noworoczne popołudnie, nasze mieszkanie przypominało pobjawisko. Wszędzie walały się jakieś składniki naszej odzieży, a my leżeliśmy w łóżku nago, lecząc się kawą, wodą mineralną i tabletkami na kaca. Pamiętałem, że Marta domagała się nad ranem pieszczot i chociaż po takiej dawce alkoholu nie byłem wtedy w stanie pobudzić swojej męskości do działania, to jednak spełniłem jej oczekiwania, pieszcząc ją aż do skutku. A w południe przyszedł czas na rewanż...

Przyjęła mnie bez swojej zwykłej niechęci i aktywnie współdziałała, chociaż sama nie chciała już niczego. Szepnęła tylko, że jest na to zbyt zmęczona. Tym niemniej robiła wszystko, żebym i ja miał satysfakcję. Tego już dawno pomiedzy nami nie było.

To był nasza pierwsza sylwestrowa zabawa od wielu lat. Nie chodziliśmy na bale, a pretekstem zawsze był brak pieniędzy, chociaż tak naprawdę, to nam się po prostu nie chciało. Nie byliśmy zainteresowani demonstrowaniem rodzinnej wspólnoty i od dawna sylwestrowe wieczory spędzaliśmy w domu.

Przed laty przynajmniej siedzieliśmy we dwoje aż do północy, oczekując wybicia przez zegar godziny zero. Wypijaliśmy wtedy po kieliszku szampana, składając sobie życzenia i szliśmy spać. Ale ostatnio i to nie było nam potrzebne. Końcowy dzień roku traktowaliśmy jak każdy inny, idąc do łóżek wieczorem, a

życzenia składaliśmy sobie dopiero rano. Formalne i sztamkowe. Bez szampana i bez czegokolwiek innego. Udawaliśmy, że to wszystko nie jest nam już potrzebne.

W tym roku ułożyło się inaczej. Chyba te wigilijne, choinkowe prezenty zmiękczyły Martę. Tak jak umawialiśmy się wtedy, pojechaliśmy po świętach do Warszawy. Joasia oprowadziła ją po galeriach, kupiły sobie sylwestrowe kiecki oraz obstalowały kreacje na dzisiejszy bal. Różnica była tylko w kosztach. Nasza sylwestrowa impreza zamknęła się w dwóch tysiącach złotych. A dzisiejsza... aż się nie chce wierzyć! Więcej niż dziesięć razy tyle! Marta domyślała się, że wydałam dużo, ale dokładnej kwoty nie знаła. Na całe szczęście, bo niby skąd miałam mieć takie pieniądze? Przecież nie była idiotką, liczyć też potrafiła. A jednak...

Nie wiem co o tym wszystkim myślała, może nowe możliwości jakoś ją hipnotyzowały? Stany moich kont znała dokładnie, miała przecież pełnomocnictwa, a jeśli podsumowałaby same koszty wigilijnych prezentów i to wszystko, co płaciłam później, musiałoby jej wyjść, że cudów być nie może! Moje wydatki znacznie przekraczały sumę zarobków, które w dodatku pozostawały nienaruszone! Płaciłam nie wiadomo czym, a poza tym jeszcze miałam co na siebie włożyć! Tego też nie mogła nie zauważyć. Szyte na miarę garnitury, samym materiałem zdradzały wyższą klasę. W dodatku przyjeżdżałam do domu ekskluzywnym samochodem... To wszystko było tak beczelnie nienormalne, że powinno stanowić dla niej wielki czerwony wykrzyknik! Udawała jednak, że tego nie zauważa.

I nawet dzisiaj, o nic takiego mnie nie zapytała. Nawet wtedy, gdy wróciła od fryzjera...

Wróciła sama, bez Joasi i zaskoczyła mnie podwójnie. Najpierw swoim wyglądem, bo świetnie się prezentowała, a po drugie dziwnym, tajemniczym uśmiechem.

- Moje gratulacje! – przywitałam ją. – Martuś, wyglądasz rewelacyjnie! Masz szansę zostać królową balu!

- Oj, ty stary, głupi... – krótko, z ironicznym uśmiechem, skomentowała moje słowa. – Królowa! – wydęła usta lekceważąco. – Czy ty wiesz jakie laski będą na tym balu? Wiesz kogo poznałam u fryzjera?

- Skąd mam wiedzieć? Mnie tam nie było!

- Panią prezesową! – oznajmiła krótko.

- Kogo? – w pierwszej chwili nie dopuściłam do siebie myśli, że chodzi o Dorotę.

- Żonę pana prezesa! Tę, która przyjmowała Joasię do pracy – kontynuowała, a mnie zrobiło się gorąco. – Jak się tak wygląda, to można chodzić na bale i zostawać królowymi! Takie stare baby jak ja, mogą tam posłużyć najwyżej jako tło. Ale laska... – zachwyciła się.

Burza myśli przeleciała mi przez głowę, na szczęście jakąś przytomność jednak zachowałam.

- Rozmawiała z wami?

- Oczywiście i to bardzo uprzejmie! – pochwaliła się. – Właściwie to zachowywała się całkiem normalnie. Kiedy Joasia mi szepnęła, że właśnie przyszła żona prezesa, pomyślałam że to jakaś porcelanowa lady, dumna jak paw, a tu przeciwnie! Całkiem sympatyczna kobieta i rzeczywiście jest bardzo ładna. Ładniejsza nawet niż sądziłam, kiedy rozmawialiście o niej podczas wigilii.

- I co ciekawego mówiła?

- Nic specjalnego. Ja jej nawet nie zauważyłam kiedy weszła, bo siedziałam przed lustrem, ale przywitała się z Joasią, potem Joasia ją przedstawiła i porozmawialiśmy tak zwyczajnie o życiu, o codziennych problemach, o fryzurach też; trochę się skarżyła, że tak samo wcześniej nie miała na nic czasu...

- To robiła sobie fryzurę?

- Oczywiście! Zajęła sąsiedni fotel i tak sobie rozmawialiśmy...

Rozległo się pukanie do drzwi, co pozwoliło mi zabrać twarz sprzed jej czujnego wzroku. Przyszła Joasia.

- No, ciebie na ulicy bym nie poznał! – skomentowałam jej wygląd. Tylko się roześmiała.

- Mówiła ci mama z kim byliśmy u fryzjera?
- Właśnie zaczęła opowiadać. Że z bardzo sympatyczną panią.
- Tak, sympatyczna! Ale mnie obsztorcowała na samym początku, że nie przedstawiam jej mamie! – Joasia udawała pretensje.
- Nie opowiadaj, grzecznie cię poprosiła – prostowała Marta.
- Wiesz mamusiu, u takich osób grzeczne uwagi są jak głośne ochrzanianie u innych. Ja jeszcze nie widziałam żeby prezes kiedyś się zdenerwował, tak samo jak i pani prezesowa. Ale słyszałam, że jeśli ktoś przychodzi do niej nieprzygotowany na rozmowę, to go grzeczniutko i bezdyskusyjnie żegna.
- Ma świętą rację! – zgodziła się Marta. – Po co mają jej zabierać czas?
- A mówiła coś o balu? – próbowałem zmienić temat.
- Mówiła, kiedy wychodziłam do manikiurzystki. Że spotkamy się wieczorem.
- To została jeszcze u fryzjera?
- A jakże! – Joasia roześmiała się. – Gdybyś słyszał jak narzekał na jej włosy!
- Takie ma kiepskie?
- Nie, to nie o to chodzi! Powiedział tylko, że nie układają się tak, jak on chce. Musiała zostać, bo nie mógł sobie z nimi poradzić.

To akuratnie wiedziałem. Pamiętałem jeszcze z czasu naszych dawnych kąpeli w jeziorze. Nawet po wyjściu z wody, jej włosy już podczas schnięcia, zawsze układały się jednakowo. Dlatego rzadko zakładała czepek. „Przekleństwo fryzjerów” – tak to przecież kiedyś określała. Oprócz używania grzebienia, nie musiała im poświęcać specjalnej uwagi. I tak prezentowały się fantastycznie...

Joasia szybko zajęła Martę swoimi problemami, więc temat Doroty się zakończył. Na całe moje szczęście. Były dzisiaj zbyt zajęte i zbyt podekscytowane, żeby mnie wypytywać o cokolwiek, mogłem więc spokojnie zająć się swoimi sprawami. Tym bardziej, że czasu to nie mieliśmy za wiele. Dochodziła druga, trzeba było zejść na obiad, a o osiemnastej miała wybić godzina zero. Za cztery godziny powinniśmy już zajmować swoje miejsca.

Zdążyliśmy, na całe szczęście. Może dlatego, że przez ostatnią godzinę niewiele ze sobą rozmawialiśmy. A wszystko przez te świąteczne perfumy...

W gorączce ostatnich przygotowań, prób i przeglądów, kiedy Marta wróciła z łazienki do salonu, poczułem nagle ulotny, znajomy zapach. I niemal natychmiast pojawiło się pożądanie. Cóż miałem robić? Takie miałem skojarzenia...

Wczoraj nie było nawet mowy o tym, żebyśmy poszli do łóżka. Marta była zbyt rozkojarzona, zbyt oderwana myślami od chwili bieżącej i zdecydowanym tonem poprosiła mnie o opuszczenie sypialni, kiedy zaglądnąłem do niej wieczorem. Wyszedłem bez słowa i to było wszystko. A dzisiaj byliśmy sami, Joasia u siebie... warunki mi sprzyjały.

Stała przed lustrem, więc widziała, że podchodzę, ale nie reagowała. Pasek szlafroka miała niezbyt ściśle zawiązany, duże fragmenty biustu białły w dekolcie... Objąłem ją jedną ręką, a drugą wsunąłem pod odchyłoną połą, obejmując dłonią pierś. Fuknęła wtedy coś, ale nie odstępowałem, wtulając nos w jej włosy.

Nagle wyswobodziła się energicznymi ruchami, po czym poprawiła szlafrok, jakby sądziła, że to błyski jej nagiego ciała pobudzają mnie do działania. Jednocześnie rzuciła pod moim adresem kilka niezbyt miłych słów, które zaraz próbowała zmiękczyć tekstem, że niby też wybrałem sobie porę na umizgi.

Miałem się nie odzywać i niczego nie odpowiadać, ale na wzmiankę o niewłaściwej porze odpyskałem, że już przez kilkanaście lat jakoś nie mogę trafić na tę właściwą, po czym szybko się ubrałem i zjechałem do baru. Trzy szybkie dawki alkoholu trochę mnie uspokoiły i wróciłem do apartamentu, aby ubierać się już balowo.

Nic więc dziwnego, że późniejsza rozmowa zupełnie nam się nie kleiła.

Przy wejściu do sal balowych portierzy sprawdzili nasze zaproszenie, po czym przejęła nas hostessa, sprawnie prowadząc na właściwe miejsce. To był trzeci stół, po prawej stronie sali, całkiem niedaleko od stołu prezydialnego. Przy naszym nie było jeszcze nikogo, byliśmy pierwsi, chociaż na sali, co najmniej połowa miejsc była już zajęta.

Pomogłem Marcie usiąść, po czym sam zająłem miejsce, oznaczone stojącą na śnieżnobiałym obrusie, ozdobną, papierową tabliczką z moim nazwiskiem, obok której leżało małe menu. Po kilku minutach dołączyli do nas Joasia z Maćkiem. Mieli miejsca obok Marty.

- Tato, kogo masz po lewej ręce? – dopytywała się Joasia.

No tak, mogłem to sprawdzić i wcześniej dowiedzieć się, z kim będziemy dzielić stół oraz poznać program balu.

- Pani Lidia Dalerska – przeczytałem półgłosem zerknąwszy w bok, po czym dyskretnie zatarłem dłonie. I chyba nawet się uśmiechnąłem.

- A cóż się tak ucieszyłeś, znasz ją? – zainteresowała się nagle Marta.

- Znam! To jest żona Romka, tego informatyka z banku, który dostarcza mi auto na lotnisko.

Zaglądnąłem dalej. Wszystko się zgadzało. Na następnej tabliczce było jego imię.

- A kogo ty masz? – zwróciłem się do Joasi.

- Krzysztof Bielawa... Ewa Bielawa... nie wiem kim oni są.

Nic mi nie świtało w głowie.

- W banku nie ma takich?

- Nie kojarzę... – Joasia była zdziwiona. – Nie spotkałam się z takim nazwiskiem.

- Pewnie niedługo się dowiemy.

- Też tak uważam! – zgodziła się.

Przerwaliśmy rozmowę, bo przy naszym stole zameldowała się pierwsza, nieznajoma para. Przywitali się grzecznie i zajęli miejsca tuż za krzesłami Lidki i Romka. Młodzi ludzie przedstawili się jako Artur i Beata Kostrzyńscy, a z wyglądu mieli kilkanaście lat mniej niż ja.

Joasia знаła ich obojwoje, w dodatku pan Artur przyznał, że prywatnie jest Romka kumplem, a w banku jego zastępcą, stąd też pewnie wynikało ich sąsiedztwo za stołem. Poza tym widział mnie w banku i wiedział kim jestem dla Joasi, chociaż ja nigdy nie zwróciłem na niego uwagi. Ale dzięki temu rozmawialiśmy bez zbędnego usztywnienia, chociaż jak na razie nie było konkretnych i bardzo zajmujących tematów. Wszystkich najbardziej interesowało co też dzisiaj będzie się działo i jaki będzie przebieg uroczystości.

A odpowiedź mieliśmy przecież w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko otworzyć menu.

Pierwsza uczyniła to Marta.

- Tu jest wszystko dokładnie napisane! – nagle oświadczyła głośno, a my słysząc jej słowa, sięgnęliśmy do swoich egzemplarzy.

Miała rację.

Pominąwszy nawet pierwszą stronę, gdzie uroczyście oznajmiano, iż Bank Solution Poland S.A. wydaje dzisiaj bal dla uczczenia dziesiątej rocznicy rozpoczęcia działalności w Polsce i gdzie między innymi widniały nazwiska głównych gości, czyli prezesa nowojorskiej centrali Jacoba Hammersa, oraz ambasadora USA w Polsce Paula Golivana, a także kilku warszawskich prezesów, na drugiej stronie widniał szczegółowy program balu, a potem było pełne menu, wraz z propozycjami zestawów win i pozostałych alkoholi. Można było wybierać i przebierać.

Wpatrywałem się w te smakowite zapisy i napisy bez wielkiej nadziei, że będę mógł wybierać świadomie, bo smaku większości dań nie znałem i mogłem go sobie tylko wyobrazić. Chciało by się chociaż

skosztować tego wszystkiego, ale cóż! Jak każdy, mogłem zdecydować się tylko na jeden zestaw. A wybierać było z czego!

Jak trafić na najsmaczniejszą dla mnie kompozycję? Ot, osiołkowi dano... A drugiej takiej okazji mogłem już w życiu nie mieć.

Menu było zaiste imponujące i godne najwykwintniejszych przyjęć. Na początek przewidziano do wyboru dwa rodzaje szampana, Roederer Cristal Brut – rocznik 2000 i Dom Perignon White - rocznik 2002.

Przeczytawszy to, z wrażenia omal nie upuściłem eleganckiego spisu na kolana. Zorientowałem się, że dalej było jeszcze bardziej drogo i wymyślnie.

- Który szampan wybierasz? – zapytałem dyskretnie Martę, łapiąc głębszy oddech.

- Nie wiem. Te nazwy niczego mi nie mówią.

- Weźmy ten drugi, dobrze?

- Dla mnie to wszystko jedno – padła cicha odpowiedź.

- W porządku, to bierzemy biały.

Nie rozglądając się wokół, zagłębiłem się w lekturę.

Wśród oferowanych przystawek i zakąsek, czyli Hors d'oeuvre, znajdowały się takie jak: wędzone na zimno polędwiczki cielęce z musem ogórkowym, polska szynka z marynowanymi kurkami, tatar z polędwicy wołowej, czarny i czerwony kawior, carpaccio z łososia atlantyckiego, filet z wędzonego pstrąga w galarecie, a nawet dania wegetariańskie jak pomidor faszerowany kremem ptysiowym z korniszonem i marynowanym prawdziwkiem, warzywne sushi, czy też marynowane dolmades, faszerowane cukinią, papryką pepperoncini i pomidorem.

Tu wiedziałem, że na pewno zażyczę sobie tatara. Lata świetlne temu jadłem go ostatni raz. Natomiast potem... potem zobaczymy.

- Wybrałaś coś z przekąsek? – dopytywałem Martę.

- Nic. Nie wiem. Jak to wszystko będzie wyglądać?

- Z programu wynika, że mamy godzinę do gorącej kolacji. Można skosztować czegoś w tym czasie. Masz pełną ofertę przed sobą.

- Potem się zastanowię.

- Potem, to przyjdzie kelner i stanie przed tobą, czekając na zlecenie. Zastanów się już teraz.

- Nie można z tego zrezygnować?

- Można. Można też zamówić wszystko z oferty – zażartowałem.

- A zjesz to? – zapytała przytomnie.

- Ja zamawiam tatara. Mnie wystarczy.

- To ja określe się później – niemal przytuliła się do mnie.

- Twój wybór! – westchnąłem, wdychając zapach jej perfum.

Magia wielkiej imprezy zadziałała. Marta była w tej chwili bezradna i w takim stanie, że nie stawiała mi oporu. Tyle, że teraz to już nie miało żadnego znaczenia. Owszem, czułem jej zapach, ten cholerny zapach perfum spod choinki, ale przecież otaczało nas mnóstwo ludzi! Nic teraz nie mogłem zrobić, niczego wykorzystać. Może wyczuwała to i dlatego była taka miła?

Jedyna korzyść polegała na tym, że zaczynaliśmy znowu rozmawiać ze sobą zwyczajnie, bez tych uprzednich podtekstów i niechęci. Bo niczego innego już nie oczekiwałem. I całkiem słusznie, bo zaraz odsunęła się ode mnie, aby omówić kwestię wyboru dań z Joasią i Maćkiem. Nie pozostawało mi nic innego, jak znowu zająć się studiowaniem spisu potraw.

Za godzinę będzie gorąca kolacja. Czyli Plat principal. Tylko co wtedy mam wybrać? Oferta oszałamiała! Na początek zupy. Krem z prawdziwków, z wędzonym boczkiem z dzika, albo staropolski rosół z lanymi

kluseczkami.

Tu nie miałem wątpliwości. Jeśli w ogóle skorzystam z zupy, to na pewno nie rosół. Marta zresztą też go nie weźmie. I nie chodziło o wrażenia smakowe. Nie cierpiałem rosółu na takich imprezach, bo był zbyt rozgrzewający. A pocić się wołałem dopiero na tańcach, a nie za stołem. Dlatego rosół odpadał w przedbiegach, więc zamówię krem. Natomiast co zamówić do zupy... Tu już nie byłem taki zdecydowany. A właściwie to byłem w kropce.

Na początku zestawów figurował młody dzik z rożna, podany na sosie jałowcowym, z ziemniaczanym purée i chrzanem oraz sałatką z marynowanych buraczków. Do tego proponowano wino Forman, Cabernet Sauvignon, Napa Valley 2007. Można było też zdecydować się na pieczonego bażanta z truflami, podanego na sosie borówkowym, z dodatkami do wyboru. Brokuły i kalafior z polskim sosem, albo gruszki pieczone z borówkami. No i oczywiście wino. Hanzell Vineyards, Pinot Noir, Sonoma Valley 2006. Trzecią możliwością był steak z polędwicy wołowej, podany z sosem Périgueux, z dodatkiem grillowanego ziemniaka, faszerowanego mieloną fasolą i serem cheddar oraz z sałatką Frisee. Oraz wino Shafer Winery, Merlot, Napa Valley 2007.

- Marta, co wybierzesz z dań głównych? – przerwałem jej konwersację z Joasią.

- Spokojnie, nie bądź taki do przodu! – osadziła mnie krótko. – Co to za dania z ryb?

- Coś „zryp” ci się marzy? – odpowiedziałem żartobliwie, próbując rozruszać atmosferę.

- Przestań! – warknęła. – Pytam cię grzecznie, więc jeśli masz coś do powiedzenia, to mów normalnie, a jeśli nie, to zamilcz!

Zamilkłem. Atmosfera milczenia powróciła, chociaż bal nawet jeszcze się nie zaczął. Zagryzłem wargi i powróciłem do studiowania menu.

Miłośnikom potraw ze stworzeń wodnych też przedstawiano niegłupią ofertę. Na pierwsze danie zupę z szyjek rakowych albo Rhode Island clam chowder, a jako dania główne: sum pieczony, faszerowany selem na sosie cytrynowym, z dodatkiem porów zapiekanych z serem, albo z kurkami w śmietanie, do tego wino Cade Winery, Sauvignon Blanc, Napa Valley 2007. Wielbiciele egzotyki mogli też skosztować homara faszerowanego z masłem ziołowym, a jako dodatki ciasteczka krabowe w kapeluszach pieczarek lub gorące masło czosnkowo-cytrynowe. I wino Patz and Hall, Chardonnay, Napa Valley 2007. Jeśli i to kogoś nie zadowalało, mógł zdecydować się na sandacza pieczonego w maśle cytrynowym, z pieczonymi jabłkami i miętą, albo szpinakiem pod beszamelem. Oczywiście, z dodatkiem wina Levendi Red Hen, Chardonnay, Napa Valley 2007.

Jak to wszystko skosztować? Już widziałem, że sandacz będzie miał inny smak niż ten, którego ja przyrządzałem kiedyś w Pokrzywnie. Warto byłoby pokusić się o porównanie. Ale nie teraz. Nie chciałem zamawiać ryby, bo jej konsumpcja jest zbyt skomplikowana w takiej sytuacji, a poza tym źle mi się koja-
rzyła.

Pamiętam śmieszną sytuację sprzed wielu lat, za czasów mojego pierwszego pobytu w Moskwie. Mie-
liśmy wtedy kontrahenta, z którym możliwości współpracy zostały sprawdzone wysyłką niewielkich par-
tii towaru, a ponieważ obydwie strony były bardzo z tego zadowolone, udało mi się wynegocjować nowy,
o wiele poważniejszy kontrakt na dalsze dostawy, który naszą firmę ustawiał co najmniej na rok. Z tego
co wiedziałem, kwota kontraktu stanowiła niemal dziesięć procent rocznych obrotów naszej firmy.
Nic więc dziwnego, że na ceremonię podpisanie dokumentów przyjechał wtedy mój prezes, oraz szefowa
pionu handlowego. A po dopełnieniu oficjalnych ceremonii, gospodarze zaprosili nas na obiad do chińs-
kiej restauracji.

To były początkowe lata dziewiętej dekady dwudziestego wieku. Okres, kiedy rozpadł się Związek So-
wiecki, wolność gospodarcza rozkwitła, ale dobrych lokali gastronomicznych trzeba było szukać ze świe-
cą. Większość z nich była jeszcze państwowa, kuchnię miały podłą, co sam kilka razy sprawdziłem. Na-

wet w hotelu, gdzie jadali rosyjscy deputowani do Dumy, a gdzie zaproszony, miałem okazję kilka razy bywać, nie było niczego ciekawego. Dlatego zapowiedź odwiedzenia oryginalnej, chińskiej restauracji, przyjąłem nie tylko z zaskoczeniem, ale i z ogromną ciekawością.

Skąd mieliśmy wtedy znać w Polsce chińską kuchnię? Oryginalną kuchnię, nie żadne bazarowe podróbki! Zresztą, nie tylko kuchnię, ale i całe otoczenie miejsca spożywania posiłków, cały wystrój wnętrza lokalu, mający nie mały wpływ na atmosferę. Przy czym okazało się, że nasi gospodarze wcale nie są lepsi, lokal znali tylko z opowiadań, co przyznali z rozbijającą szczerością, jeszcze przed wejściem do środka. Restauracja była maleńka, kilkadziesiąt metrów kwadratowych. Wszystkiego sześć stolików. Naprawdę! Sześć stolików po sześć wygodnych krzeseł i to wszystko! Ulokowana w dyskretnym miejscu, schowana jakby w podwórku, pomiędzy zabytkami dawnej Moskwy w okolicach stacji metra Kitaj - gorod, nie rzucająca się w oczy przechodniom... a jednak! Chyba nie narzekała na brak kasowych klientów, chociaż z zewnątrz nie miała żadnej reklamy. Mimo to, na pudełkach zapalek, które znajdowały się przed każdym krzesłem na stoliku, był fragment planu miasta wyjaśniający jak dojść lub dojechać do tego miejsca następnym razem. Oczywiście, zapalki od razu powędrowały do kieszeni, a panie schowały je do torebek.

Już przy drzwiach wejściowych serdecznie się nami zaopiekowano, dwie kelnerki natychmiast były do dyspozycji i zaraz zaczęło się studiowanie menu. Bardzo szybko też obaj prezesi wpadli na pomysł, entuzjastycznie przyjęty przez resztę uczestników, a było nas sześć osób, żeby nie koncentrować się na jednym daniu, tylko żeby zamówić dań kilkanaście na cały stół i po prostu będziemy się nimi dzielić. Po to by zakosztować jak największej ich ilości. A jeśli coś komuś przypadnie wyjątkowo do gustu, to zamówi dla siebie pełną porcję.

Tak też było. Kosztowaliśmy wszystkiego, smaki były rzeczywiście oryginalne i w większości nam nieznane. Kelnerki cierpliwie wyjaśniały i opisywały co się kryje pod jakąś kolejną nazwą, na stole lądowały następne półmiski, aż wyszła ta sytuacja z rybą.

Najedzeni jeszcze nie byliśmy, więc kiedy mój prezes wymyślił, że teraz zjemy po rybie jakiejś tam, nie pamiętam już jak przygotowanej, wszyscy propozycję zaaprobowali. Tylko nie kelnerka. Lekko się wtedy uśmiechnęła i odparła, że owszem, zamówienie może zrealizować, ale według niej to wszyscy razem nie zjemy nawet jednej. I to było prawdą!

Kiedy przyniosła ogromny półmisek, to zarówno łeb jak i ogon tego potwora, zwisały daleko poza jego krawędzie! Nie mieliśmy szans, żeby w sześć osób zjeść chociażby jej połowę! Śmiechu było co niemiara, dobrze, że nie musieliśmy wobec siebie skrywać swojej niewiedzy, bo ten obiad nie należałby do przyjemnych. A tak, wspominałem go całkiem sympatycznie.

To była profesjonalna chińska restauracja i szkoda, że później to miano rozmiękło się na drobne. Przeszliśmy tam wtedy szybki kurs posługiwania się pałeczkami przy jedzeniu i od tego czasu nie mam już żadnego problemu w posługiwaniu się nimi. Prosty trick, a jednak mało zauważalny dla otoczenia. Dlatego niewiele osób rozumie jak się nimi efektywnie posługiwać. No i ta jaśminowa herbata na zakończenie posiłku, w starej, chińskiej porcelanie... marzenie!

- Tatku, a to co oferują z dań bezmięsnych, to można im wierzyć? – usłyszałem głos Joasi.

- Jak uważasz! – odparłem, wyrwany ze wspomnień. – Przecież ktoś to menu układał i ktoś wyraźnie oddzielił jedno od drugiego. Mnie przy tym nie było!

Joasia od pewnego czasu nie jadła mięsa. Cóż mogłem na to poradzić? Mój wpływ na nią dawno się zakończył. Miała swoje poglądy i przekonania, nie przyjmowała też argumentów, że szkodzi jej organizmowi, bo w takich sytuacjach należy mocno zadbać o zrównoważony jadłospis i nie jeść byle czego. Ale jakiegokolwiek próby dyskusji w temacie żywienia kończyły się wzruszeniem ramion i pokazaniem mi pleców. Zupełnie nie chciała o tym rozmawiać. Nie, bo nie! Tak postanowiła i wara komukolwiek od jej decyzji.

Mawiałem czasami nieco złośliwie, że takie podejście bezdyskusyjnie miała po Marcie. Ten sam styl i

podobna argumentacja. „Nie będę z wami o tym rozmawiać, bo wy nie macie pojęcia o życiu” – tak kiedyś oświadczyła. No cóż, jajko jest teraz mądrzejsze od kury, widzę to na co dzień. I tak nie miałem prawa narzekać. W porównaniu z tym, co słyszałem i widziałem na ulicy albo u niektórych znajomych, moja córka była ideałem! Nie mogłem więc narzekać na nią.

- Czyli mogę wierzyć, że tam nie ma mięsa? – jeszcze próbowała coś osiągnąć.

- Jeśli im nie uwierzysz, no to komu? – nieco filozoficznie i przewrotnie odpowiedział jej Maciek. – Przecież tu jest pięć gwiazdek. Gdyby próbowali nie spełniać wymagań, to już dawno by się to wydało.

- Dobrze, uwierzę wam! – westchnęła, studiując lakierowany kartonik. Poszedłem za jej przykładem.

Menu uroczystości przewidywało więc dania wegetariańskie, żeby nikt nie poczuł się dyskryminowany. Joasi bardzo to odpowiadało. Do wyboru był krem z porów z szafranem oraz zupa marchwiowo – jabłkowa z miętą. Dania główne zaś stanowiły: zestaw vol-au-vent z jarzynami i kurkami, oraz wino Cakebread Anderson Valley, Pinot Noir, Napa Valley 2007. Można też było delektować się bukietem z jarzyn pieczonych z sosem śliwkowym (balsamiczna brukselka glazurowana, grzyby portobello nadziewane szpinakiem, cebulka perłowa, bakłażan) oraz winem Chateau Montelena, Cabernet Sauvignon, Napa Valley 2007. Całość propozycji kolacyjnych zamykał bukiet z jarzyn "na parze" z sosem serowym (brokuły, kalafior, fasolka szparagowa, groszek strączkowy, szparagi, karczochy), z winem Patz and Hall Dutton Ranch, Chardonnay, Napa Valley 2007.

Jejku, głowa krążyła od tych wszystkich możliwości. Ciekawe jak to wszystko jest zorganizowane. Przecież kuchnia nie jest w stanie przewidzieć co zamówią goście. Ile z tego się zmarnuje, bo przeliczono się z popytem? A przecież były jeszcze desery...

Tort czekoladowy z orzechami "Betty Rosbottom" i wino Mailly Brut Champagne L'Intemporelle 2003, sałatka ze świeżych owoców - ananas, melon, arbuzy, różowy grapefruit, mandarynka, banan, gruszka, truskawki z sosem z granatów na rumie i miodzie, oraz wino Champagne Mailly Brut Reserve NV, suflet cytrynowy z migdałami i sosem jagodowym oraz wino Guy Larmandier Vertus Brut 1er Cru NV albo lody Gelato, wariacje owocowe z sosem poziomkowo malinowym, wraz z winem Gosset Brut Grand Rose NV.

Nie za wiele mi te nazwy mówiły. Pewnie ściągnięto tutaj wina kalifornijskie dla podkreślenia częściowo zaoceanicznego charakteru uroczystości. A co, stać ich przecież! Menu zawierało też opisy smaków i aromatów, ale miałem już dość lektury. To było ponad wyobrażenia. Może później jeszcze je przegłębę, ale na teraz miałem dość. Sala wypełniała się, nie należało dać się czymś zaskoczyć.

Odłożyłem kartę na stół i spojrzałem dookoła. Maciek, chłopak Joasi, zrobił dokładnie to samo. Obydwaj mieliśmy bardzo podobne, nieco głupie miny. Bogactwo potraw nas przytłaczało, bez żadnych wątpliwości. Dopiero teraz zaczynało do mnie dochodzić, w jak poważnej uroczystości bierzemy udział. Dotychczas to właściwie myślałem tylko o tym, że pierwszy raz od lata, od wyjazdu z Pokrzywna, będę miał okazję zobaczyć się z Dorotką. Na żywo, a nie na ekranie monitora, albo za pomocą poczty elektronicznej. I to stanowiło mój główny motor napędowy, kiedy czyniłem przygotowania do balu. Na razie jednak głównych aktorów wieczoru jeszcze nie było, chociaż nawet miejsca za stołem przydialnym częściowo się wypełniały.

Także przy naszym stole byliśmy już niemal w komplecie. Niemal, bo ciągle brakowało Lidki i Romka. Pozostali goście dotarli razem; pan Bielawa był mi zupełnie nieznany i chyba nikt przy stole też go nie znał, tak samo jak drugiego, który przedstawił się jako Adam Gruszewski. To było towarzystwo zbliżone do nas wiekiem, co zrobiło na mnie pozytywne wrażenie. Oczywiście, nie znałem również ich żon. Za to cała czwórka była w dobrej komitywie, bo dyskretnie i wesoło rozmawiali ze sobą, niewiele przejmując się resztą obecnych przy stole. Najwyraźniej nieco nas lekceważyli, co z kolei przyjąłem niechętnie. Ale

im też miny wydłużyły się lekko, kiedy zapoznali się z menu. Chociaż panowie usiłowali imponować żonom znajomością tematu, to już widziałem, że blefują. Nuworysze, tak samo jak i ja. Nie było się czym przejmować. Przestali mnie interesować.

Tymczasem zbliżała się pora oficjalnego rozpoczęcia balu. Kelnerzy niemal tańczyli pomiędzy stołami, roznosząc na tacach kieliszki z dwoma wariantami szampana, a za nimi sunęły kelnerki, podsuwając małeńkie, zmrożone miseczki z kawiozem, lub zamiennie, talerzyki z porcjowanym winogronem. I szybko wymieniano opróżnione. Nikomu tutaj niczego nie żałowano.

Niemal wszystkie miejsca były już zajęte i sala przypominała brzęczący ul, co tak naprawdę niewiele ją odróżniało od podobnych lokali, będących miejscem znacznie bardziej pospolitych imprez. Chociaż trzeba przyznać, że żadnych głośnych wrzasków nie było. Przy stole można było rozmawiać półgłosem, co z ochotą czynili Bielawa z towarzystwem. Może to była kwestia akustyki sali, może rzeczywiście nikt tutaj nie mówił zbyt głośno... W każdym razie my z Martą milczeliśmy, chociaż od czasu do czasu Joasia pochylała się w jej stronę i cicho wymieniały jakieś uwagi. Nie słyszałem o czym.

Gwar wzmógł się dopiero, kiedy na sali jednocześnie pojawili się gospodarze oraz najważniejsi goście wieczoru. Ktoś wymyślił nawet brawa, więc zanim zajęli swoje miejsca, kilkakrotnie jeszcze po drodze uklonili się zgromadzonym przy stołach. Ale ja widziałem tylko ją jedną...

Szła, a właściwie to płynęła przez salę, delikatnie ujmując Johna pod ramię. Wyglądała nieziemsko. W długiej, srebrzystej i opalizującej sukni bez rękawów, z niewielkim dekoltem, ozdobionym dyskretnym naszyjnikiem, wyglądającym jakby był ze stali, z długimi kolczykami w uszach, przypominała bardziej triumfatorkę Miss World, a nie bizneswoman, bankowego decydenta od amerykańskich inwestycji. Łatwiej już przyjąłbym określenie nimfa, chociaż w jej zachowaniu, ani wyglądzie, nie brakło przejawów zwykłego, ziemskiego życia. I nieważne, że jej głowy nie ozdabiała korona królowej piękności. Uśmiechała się promiennie i radośnie, pewna siebie, można by rzec nawet, że łamała etykietę, bo zatrzymała się na chwilę i pomachała dłonią zebrany, co tylko spotęgowało brawa na sali.

Brakowało mi Lidki. Dlaczego jeszcze jej nie ma? Liczyłem na to, że uda mi się z nią porozmawiać, może nawet urwać się gdzieś na chwilę, by udzieliła mi pożytecznych wskazówek. Co dla mnie przewidziała Dorotka? Przecież na balu nie będę miał do niej dostępu, oprócz możliwości wymiany kilku grzecznościowych zdań. Dzieliły nas tylko trzy stoły, ale czy to nie będzie zbyt wiele? Jak mam z nią zatańczyć? Kiedy? Nie wiedziałem jak mam się zachować.

Tyle, że Lidki wciąż nie było...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wykrot, dodano 19.03.2013 09:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.